

**ANARCHISTA.****1. OBIAD.**

Z ulicy dochodziły ciężkie kroki robotników, wracających z fabryki do domów. Drzwi roztwarły się z hałasem i wszedł Jakób Houdailles, przystojny i rosły trzydziestoletni mężczyzna z dwójkiem dzieci, które po szkole czekały nań przy wyjściu z warsztatu.

Marjanna wniosła wazę i rodzina zasiadła do posilku.

Kował lubił zupę o aromatycznym zapachu, wymykającym się z brzozy fajansu, czego dowiódł, napelniając trzykrotnie talerz swój po brzegi.

Chmurny był jednak i szorstkim ruchem wychylił szklanę wina, którą mu Marjanna z uśmiechem nalala.

— Czy nie dostatek gaży, Jakóbie? — spytała po chwili.

— Tegoby tylko brakowało! — huknął kował, uderzając pięścią w stół — spaliłbym budę, gdyby mi nie zapłacono za moją krwawą pracę.

— Co ci jest dzisiaj? — spytała jeszcze z niepokojem.

— Jest mi... jest mi... nudzisz mnie! To do kobiet nie należy!

— Oddaj mi pieniądze — rzekła wówczas Marjanna słodkim głosem, pewna już, że Jakób musiał się zapomnieć nieco, wychodząc z fabryki.

— Pieniądze? Na co ci one?

— Możesz zgubić je...

— Albo przepić, nieprawdaż? Ha, ha, ha!

— Ach! — odparła Marjanna smutnie — nie omyliłam się, piłeś już.

— Tak jest, piłem i nie oddam ci pieniędzy, bo mi są potrzebne. Strajkujemy — odpowiedział wstając i wkładając czapkę na głowę.

— Dokąd idziesz, Jakóbie? — pytała Marjanna błędnie.

— Towarzysze czekają na mnie. Dość już mamy takiego życia! Dla kogo tu zabić się pracą? Dla burżujów?!

Po wyjściu Jakóba Marjanna ocierając raz po raz łzy z oczu ułożyła dzieci do snu, sprzątnęła ze stołu i zmywszy naczynia, za siadła znowu do szycia; obsługując bowiem dom, męża i dzieci, wyrabiała jednocześnie swoje pięćdziesiąt sous igła.

— Dlaczego ta nienawiść do burżujów? — rozmyślała trwożnie, pochylona nad robotą. — Co oni mu zrobili?

**2. STRAJK.**

Jakób przyszedł do domu o północy, nie pijany wprawdzie, lecz silnie podniecony. Mówił o podpaleniu fabryki i ucieczce z miasta. Nazajutrz wróciwszy z roboty, rzucił swą torbę z narzędziami w kąt i oznajmił z triumfującą miną żonie:

— Fabryka jest na indeksie.

— Co to znaczy?

— Nie wolno wejść do niej, który przestąpi jej próg, będzie miał za swoje.

— Jakiem prawem?

— Prawem strajku.

— Strajku? — powtórzyła Marjanna jak echo, drgnawszy na dźwięk tego złowro-

giego słowa. — Nie będziesz więc zarabiał? Co się z nami stanie? Z czego żyć będziemy?

— O! bądź spokojna — odparł kował sam w gruncie rzeczy niespokojny trochę — mamy fundusze. — Każdy z nas pobierać będzie dwa franki dziennie.

— Dwa franki na czworo dzieci!...

— To nic nie obchodzi syndykaty! — roześmiał się kował.

— Ale mnie to obchodzi — uniosła się Marjanna — nie chcę, żeby moje dzieci umierały z głodu!

— Masz oszczędności! Pracuj po nocach zresztą! — krzyknął Jakób i trzaskając drzwiami poszedł do karczmy.

**3. ZGUBNE OBWIESZCZENIA.**

Pewnego wieczoru Jakób wśliznął się potajemnie jak złodziej na schody swego domu i wszedł z bladą wzburzoną twarzą do mieszkania.

— Ścigają mnie — rzekł do żony — podzielił się ze mną pieniędzmi, bo muszę uciekać.

— Coś zrobił? — szepnęła, rzucając mu się na szyję.

— Głupstwo! Nalepiłem afisze na murach. Oni nazywają je zgubnymi obwieszczeniami...

— To bardzo źle, Jakóbie, że ulegasz złym podszeptom; zesłał cię o pięć tysięcy mil stąd, lub rozstrzelają nawet, jeśli wpadniesz im w ręce — upominała go Marjanna, płacząc i spakowawszy trochę odzienia w węzełek, podała go mężowi, wsuwając mu jednocześnie dwie monety po sto sous. Ostatnie może, do ręki.

Hałas rozległ się na schodach, szepty ludzi i odgłos przytłumionych kroków.

— Policja — krzyknął Houdailles — ach, lotry! Nie bój się, Marjanno! Nie będą mnie mieli!

Otworzył drzwi z impetem i robiąc pięściami zbiegł ze schodów z tak zawrotną szybkością, że agenci, którzy ścigali go rzeźwiście, oniemiałi narazie. Puścili się w chwilę potem w pogoń za nim, ale daremnie.

**4. WIGILJA BOŻEGO NARODZENIA.**

Marjanna znalazła pracę, ludzie bowiem zrozumieli wreszcie, że ani matka, ani jej dzieci nie były odpowiedzialne za winę nędznika. Obiecano nawet zająć się dziećmi. 24-go grudnia zrana z okazji świąt Bożego Narodzenia przyniesiono jej ciepłe ubranka zimowe i zaproszono ją z dziećmi na choinkę do pani Heunetier.

Marjanna zbladła.

— Ależ to żona głównego dyrektora fabryki, w której mąż mój pracował — wyjąkała.

Pani Heunetier wie o tem i chce jej dać dowód swego szacunku. Robią się zresztą starania załagodzenia sporu, wszyscy bowiem rozumieją, że przedłużanie się strajku grozi klęską. Nie powinna odmawiać, ze względu na dzieci chociażby.

Marjanna schyliwszy głowę na piersi, odparła sucho:

„Pójdę, proszę pani“.

Dzieci klasnęły radośnie w rączki.

Czterdzieścioro dzieci otoczyło wieczorem obrzymi stół zastawiony jadłem wszelkiego rodzaju i dziesięć choinek, jarzących ssię światłem, ze stosem zabawek pod drzewkami. Działwa szalała niemal z radości.

Na kilka minut przed północą Marjanna wstała, szukając oczami swej rozpięchłej czwórki.

— O godzinie pierwszej rozdane będą zabawki — powiedziano jej — nie puścimy panią.

— Zostawię w takim razie troje starszych i pójdę do snu ułożyć najmłodsze — odparła Marjanna.

Zrobiła kilka kroków na ulicy, gdy wielki cień zasłonił jej nagłe oczy. Cofnęła się w tył i okrzyk zamarał jej na ustach.

— Marjanno! — ozwał się głos.

— Ach, to ty, Jakóbie? O, mój Boże, jeśli cię zobaczę...

Mniejsza o to... Za kilka chwil panowanie burżujów skończy się... Widzisz, ten dom pełen światła, gdzie uczują teraz... to on, nasz wyzwoliciel... podejmuje swoich gości... Ale o dwunastej wylecą wszyscy w powietrze... Podłożyłem dynamit, knot pali się już, za dziesięć minut...

— Nędzniku! — zawyła Marjanna, zrozumiałwszy nareszcie — wszystkie dzieci okoliczne i nasze... nasze... są tam...

— Nasze? — powtórzył jak piorunem rażony i znikł w ciemnościach w stronę domu pp. Heunetier.

Marjanna natomiast stanęła w mgleniu oka na jego progu, wołając wniebogłosy:

— Dom jest podmimowany! Uciekajcie wszyscy!...

W ciągu paru minut dom opustoszał. Silniejsi wynieśli słabszych i drobniag dzieci; dorosłe osoby, otwierając wszystkie drzwi, wypędzały starsze dzieci przed sobą. Uroczystość odbywała się na parterze na szczęście.

Północ biła na zegarze fabrycznym, gdy straszny huk rozdarł powietrze i gmach, tonący w światłach przed chwilą wyleciał w powietrze i runął w gruzy. Wszyscy rozbiegli się w panice na wszystkie strony.

Jedna tylko kobieta z dzieckiem na ręku i trojgiem, uczeponych jej sukni, stała w niewielkiej odległości od rumowisk.

Latarnia gazowa rzucała światło na obrzymią hekatombę. W jej migotliwym blasku Marjanna dojrzała zwiłki mężczyzny... Zrobiwszy kilka kroków ku nim, padła na kolana, tłumiąc łkanie i garnąc dzieci do siebie.

Rozległy się dzwony kościoła dzielnicy robotniczej, zwołujące pobożnych na pasterkę. Tłumy niebawem, zwabione eksplozją i dzwonami zaległy ulicę.

Dostrzeżono i poznano zwiłki mężczyzny.

— Jakób Houdaille — wołano ze wszystkich stron — anarchista!...

— Tak — odparła Marjanna, stając przed wzburzoną ciżbą i tuląc dzieci drżąca dłońią do kolan — anarchista, lecz nie bał się pobiedz na spotkanie śmierci, ażeby nas ocalić i przyjąć ją jako pokutę.

Tłum. Jotsaw.



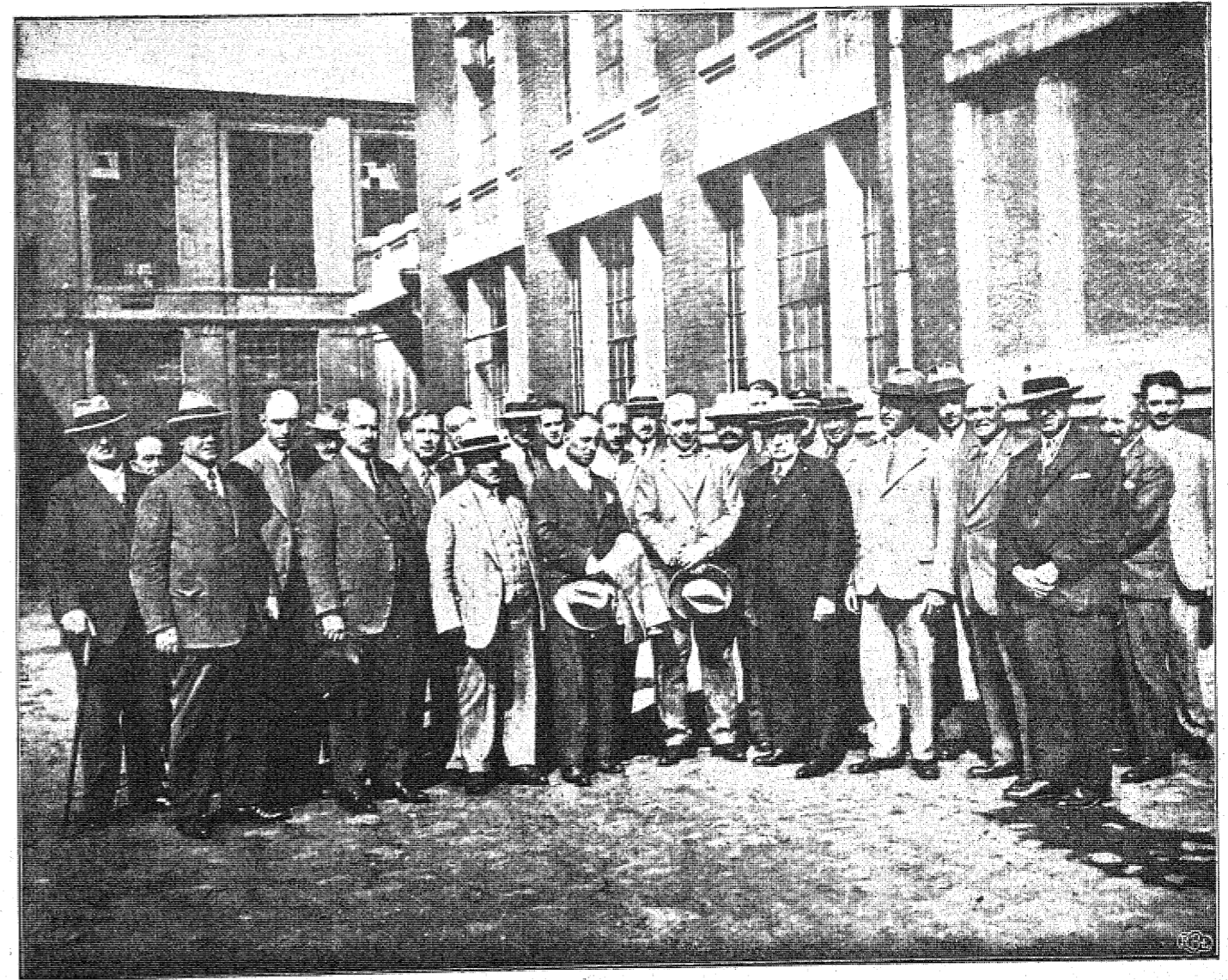
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Łódź, dnia 8 września 1929 r.

Nr. 36.

## Finansiści i przemysłowcy Szwajcarii w Łodzi.



W dniu 30-ym ub. m. do Łodzi zawitała wycieczka finansistów i przemysłowców szwajcarskich, owacyjnie przyjmowana przez Izbę Handlowo-Przemysłową oraz Związek Włókienniczy w Państwie Polskiem. Fot. A. Mayer.

## TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — W wrót sezonu. — Zmierch Gordona Craiga. — Nowości zagraniczne.

„Wiosna narodów“ Adolfa Nowaczyńskiego, której nagrodzenie na konkursie dramatycznym krakowskim wywołało w swoim czasie, jak wiadomo, bardzo ostre spory, polemiki i komentarze, otrzymała wreszcie chrzest teatralny w Teatrze Narodowym p. t. „Wiosna narodów w cichym zakątku“. Sztuka ta, poświęcona stosunkom krakowskim w epoce „wiosny narodów“ (1848 r.), jest — jak wszystkie prawie sceniczne utwory Nowaczyńskiego — udratyzowanym satyrycznym feljetonem, bar dziej interesującym w czytaniu, niżli w oglądaniu teatralnym. Barokowość pomysłów (— języka) — pomimo znacznych skreśleń reżyserskich — rozdymana dramat Nowaczyńskiego do rozmiarów scenicznie zbyt obszernych, brak mocniejszego rusztowania ideologicznego stwarza wokół „Wiosny narodów“ atmosferę kalejdoskopowo-obrazkową, w której brak punktu zaczepienia dla myśli i uwagi widza. Jak wyraził się w swej recenzji Irzykowski, Nowaczyński zawsze „albo kadzi, albo beszta“, przycem przejścia od sympatyj do antypatyj i naodwrot bywają przeważnie równie gwałtowne jak — nieuzasadnione. To „kadzenie“ lub „besztanie“ pełne pasji, ale nie obiektywnego krytycyzmu, znajduje naturalnie w „Wiosnie narodów“ wyraz bardzo dobitny. Zamiast pierwiastków jakiejś takiej wierności i prawdy historycznej, spotykamy się z akcentami najzupełniej indywidualnej i polemicznej natury, które mimo zadzierzystego, swoistego stylu autora i ciętości jego pióra, poczynają nużyć na przestrzeni czterech długich aktów.

Sztuka Nowaczyńskiego nie wzbudziła entuzjazmu w prasie warszawskiej, nawet w pismach, bliskich autorowi politycznie. Powiedziano tu i owdzie parę komplementów, podkreślono starannie przygotowanie reżyserskie, dobrą grę artystów, ale naogół — utrzymano się wobec „Wiosny narodów“ w pozycji dość chłodnej rezerwy. W obsadzie „Wiosny“ widnieją takie nazwiska, jak Solski, Węgrzyn, Cwiklińska, Chmieliński, a sugestia ich znakomitej gry każe zapominać o poważnych brakach samej sztuki, nie będących bynajmniej świadectwem niedostatku talentu lub doświadczenia autora, lecz stanowiących wykładnik jego skądinąd bardzo ciekawych i nieprzeciętnych właściwości i predyspozycji osobistych.

Z „ogórkowa“ premjera wystąpił w tych dniach warszawski Teatr Letni, wystawiając głośną „bombę“ rodową Bayarda Veilera p. t. „Proces Mary Dugan“. Sztukę tę grano w Łodzi niedawno, z dość dużym stosunkowo powodzeniem. Okoliczność ta zwalnia nas z niewdzięcznego obowiązku poświęcania miejsca omawianiu treści „Procesu Mary Dugan“. Powiemy tylko ogólnie, że zręczna bezwzględna sztuka Veilera podobała się i w Warszawie, co w dużym stopniu jest zasługą wykonawców z pp. Smosarski, Warneckim, Justjanem i Broniszówną.

Szereg interesujących informacji o życiu i pracach słynnego niegdyś reformatora teatralnego Gordona Craiga podało ostatnio czasopismo francuskie „La Revue Européenne“. Gordon Craig, syn znakomitej aktorki angielskiej, Ellen Terry, był założycielem czasopisma teatralnego „The Mark“, które, propagując idee „teatru przyszłości“ w ramach dekoracyjnego przepychu i niezwykłości wywarło pośrednio znaczny wpływ na niejednego z współczesnych reżyserów i inscenizatorów. Realnie jednak rzecz biorąc koncepcje Craiga nie dały trwałych fundamentów pod jego działalność artystyczną i osobistą egzystencję. Obecnie Craig, wraz z rodziną, mieszka stale w Genui i czerpie środki do życia z pisania artykułów, a więc — służy teatrowi tylko na polu teoretycznym. Szkoła dramatyczna Craiga, założona w r. 1913 we Florencji p. n. Arena Goldoni, upadła w latach wojennych i przestała istnieć. Bilans wysiłków Craiga, podjętych z bojowej reduty „The Mark“, przedstawia się tedy, ku końcowi dni głośnego reformatora, bardzo niewesoło. Pomysły jego nie miały snać w sobie siły twórczej, skoro owoce tych ziaren, obficie w głąb teatru rzuconych są tak bardzo skąpe. Nawet dysponowanie tak potężnym artystycznie aparatem, jak „Moskiewski Teatr Artystyczny“, oddany Craigowi w swoim czasie jako teren przedsięwzięć eksperymentalnych, nie zdołało koncepcji Craiga urealnić, utrwalić.

W tych dniach rozpoczął sezon Teatr Miejski im. Słowackiego w Krakowie, oddany w tym roku ponownie w doświadczone ręce dyrektorskie, p. T. Trzczińskiego. Na inaugurację wystawiono grany już w Warszawie mocny dramat historyczny Goetla — „Samuel Zborowski“, z p. Wacławem Nowakowskim w roli tytułowej. Bardzo starannie pod każdym względem przygotowane przedstawienie usświetnione było występem p. Junoszy-Stępowskiego, który kreował postać Batorego. Jak się dowiadujemy, dyrektor Trzcziński zapewnił sobie współpracę pp. Junoszy-Stępowskiego oraz Jaracza w ciągu całego sezonu naj-

bliższego. Pierwszy z tych świetnych artystów, prócz roli Batorego w „Samuelu Zborowskim“, grać będzie jeszcze króla Magnusa w „Wielkim Kramie“ Shawa oraz rolę naczelną w znanym Łodzi „Azaisie“ Verneuil'a. Nowy sezon krakowski rozpoczął się pod bardzo pomyślnymi auspicjami i należy mieć nadzieję, że wróżby te nie zawiodą.

Wspominaliśmy w swoim czasie o błyskawicznej karierze skromnego urzędnika ubezpieczeniowego, niejakiego p. K. C. Sheriffa, który w przeciągu dni niewiele stał się słynnym i bogatym autorem sztuki wojennej p. t. „Journey End“. Po wielkich sukcesach w Anglii i Stanach Zjednoczonych, sztuka Sheriffa, której głównymi zaletami są — prostota, świeżość i bezpośredniość, przeszła już na kontynent i grana jest obecnie w paryskim Theatre Albert. Recenzje prasy francuskiej są dla p. Sheriffa bardzo życzliwe, — a podniesiono m. in. z paru stron, że ton ogólny sztuki zdradza duże pokrewieństwo z sensacją powieściową Remarque'a: „Na zachodzie nic nowego“.

W teatrze pałacowym króla belgijskiego odbyło się wspaniałe widowisko w języku flamandzkim, na które zaproszono liczne grono przedstawicieli arystokracji, korpusu dyplomatycznego, przedstawicieli sztuki i t. d. Wystawiono sztukę Ramuza p. t. „Historja Żołnierza“, o charakterze misterjalnym. Szereg wybitnych aktorów, malarzy i muzyków przyczynił się do świetności tego królewskiego przedstawienia. Role główne grali pp.: Brugge i Verheyen, dekoracje malował Floris Jesfers, orkiestrą dyrygował Albert Prevost, muzykę dał Strawiński. Zainteresowanie się belgijskiej pary królewskiej twórczością flamandzką ma niewątpliwie swe znaczenie polityczne, którego tendencją jest jak najściślej i najistotniej zalenie dwóch części bohaterkiego narodu Belgów — romańskich Wallonów i germańskich Flamandów. O względy tych ostatnich ubiega się gwałtownie, jak wiadomo, ruchliwa propaganda niemiecka.

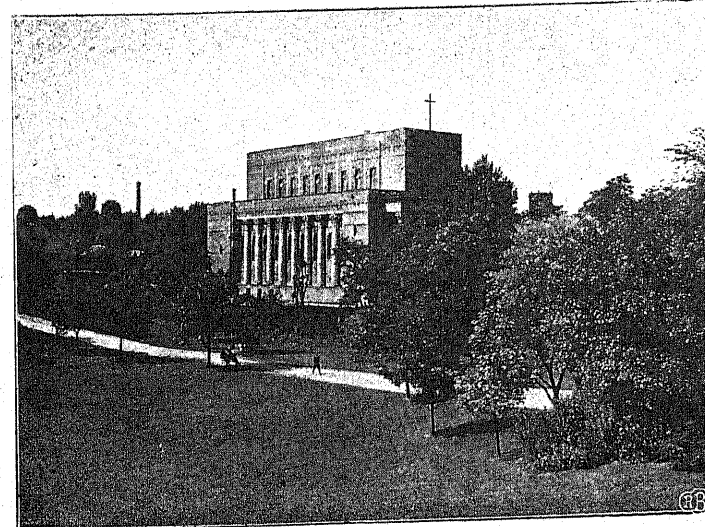
Delta.



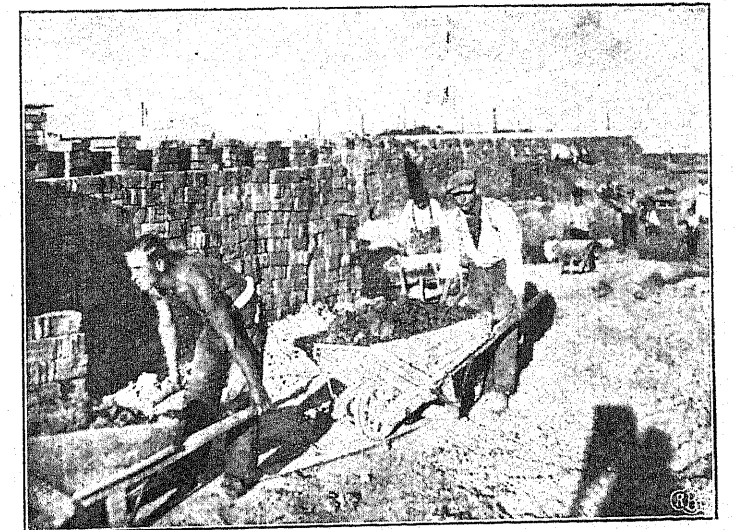
Sprzedż ziół na Wodnym Rynku.



W dniu 28-ym sierpnia r. b. odbyło się poświęcenie sztandaru Stowarzyszenia Właścicieli Piwiarń na województwo łódzkie. Zdjęcie nasze przedstawia członków Stowarzyszenia z zarządem na czele oraz delegatami z innych stowarzyszeń.



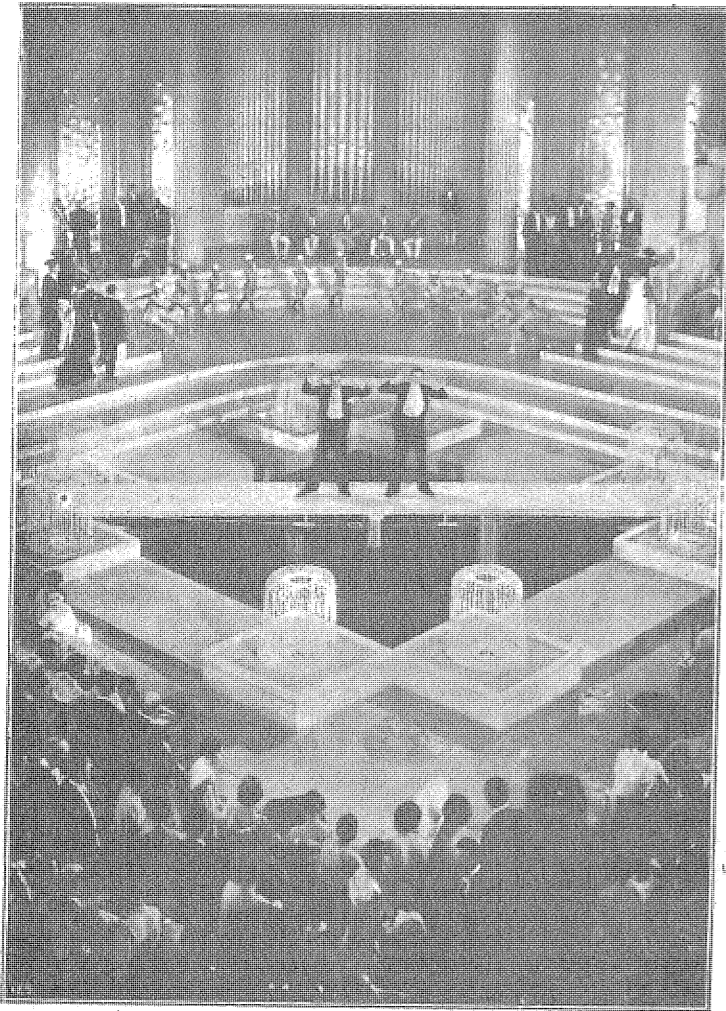
Fragment z pięknego kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej od strony parku Poniatowskiego.



Łódzki Czerwony Krzyż z rozmachem zaczął budować własny szpital. Zdjęcie przedstawia tok rozpoczętych prac.

Fot. A. Mayer.





Zdjęcie filmowe ze wspaniałej zabawy w pałacu milionera amerykańskiego.



Wesoła komedia na ekranie mieć będzie zawsze większe powodzenie, aniżeli ponury dramat. Powyżej fragment komedji filmowej pod tyt. „Królowa jego serca” z udziałem ślicznej Liany Haid i wybornego Curt Vespermanna.



Jeden z najsympatyczniejszych amantów filmowych, Józef Schildkraut od twarza główną rolę w komedji filmowej „Królewicz się bawi”.



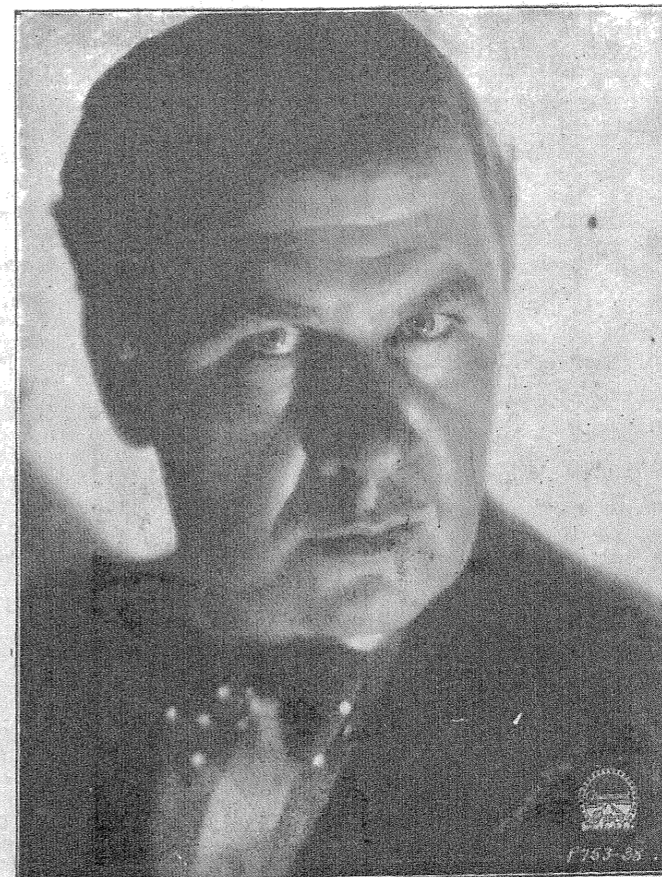
Virginja Bradford i Frank Mayo, niezapomniani bohaterzy „Wyspy grozy”



Jack Trevor, Fritz Kampers i Charlotte Ander grają główne role w obrazie „Szofer jasnie pani”.



Neil Hamilton (Aleksander) i Lewis Stone (hr. Pá hlen) w filmie „Intrygant”.



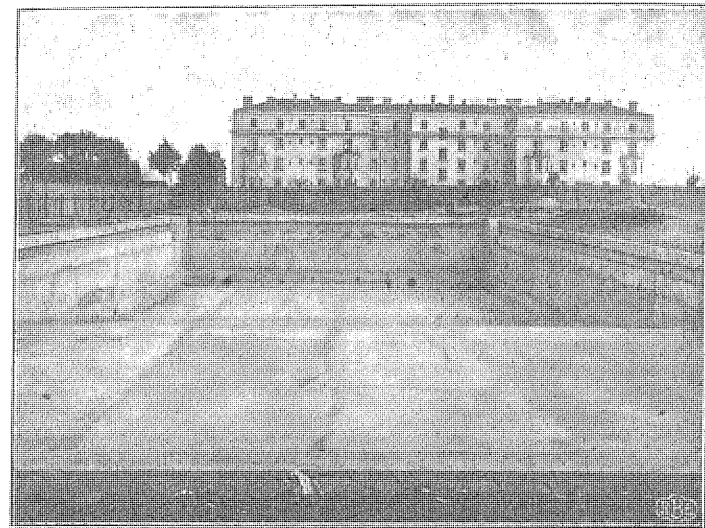
Znakomity aktor charakterystyczny, George Bancroft, znany z filmu „Ludzie podziemi”, ukaże się w 3 nowych filmach: „Oblawa”, „Męty życia” i „Życiowe rozbitki”.



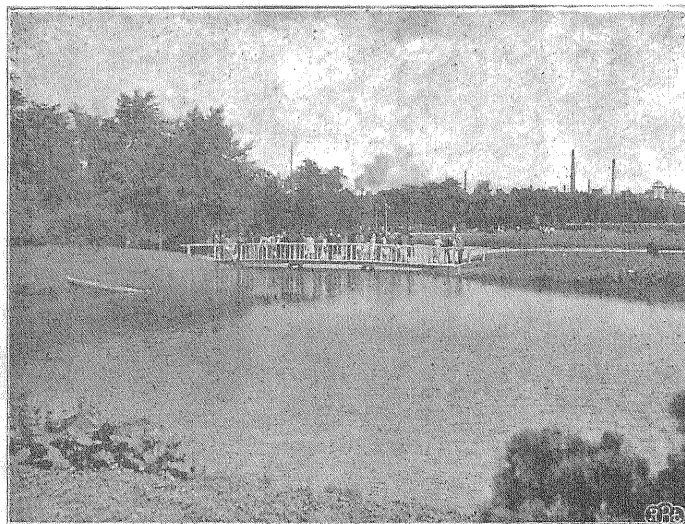
Laura La Plante, ulubiona „gwiazda” ekranu.



Grupa lekkoatletów, zrzeszonych w Ł. O. Z. L. A., która pod fachowym kierunkiem trenera P. Z. L. p, Jakobsona odbywa regularne treningi na stadionie sportowym Ł. K. S.



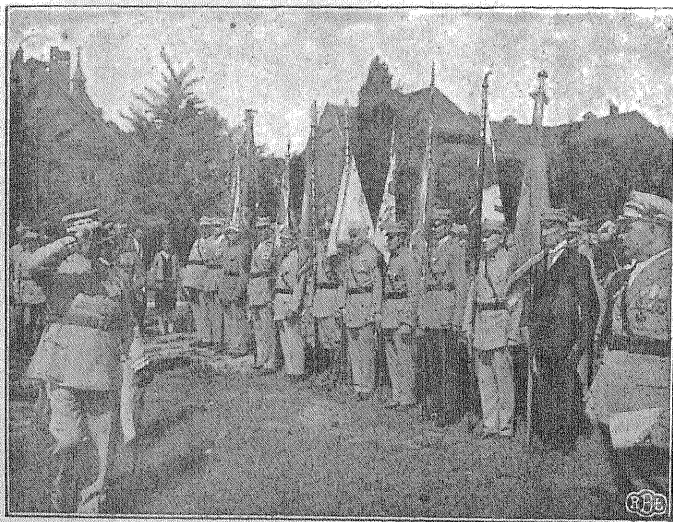
Nowa pływalnia na boisku Ł. K. S.-u.



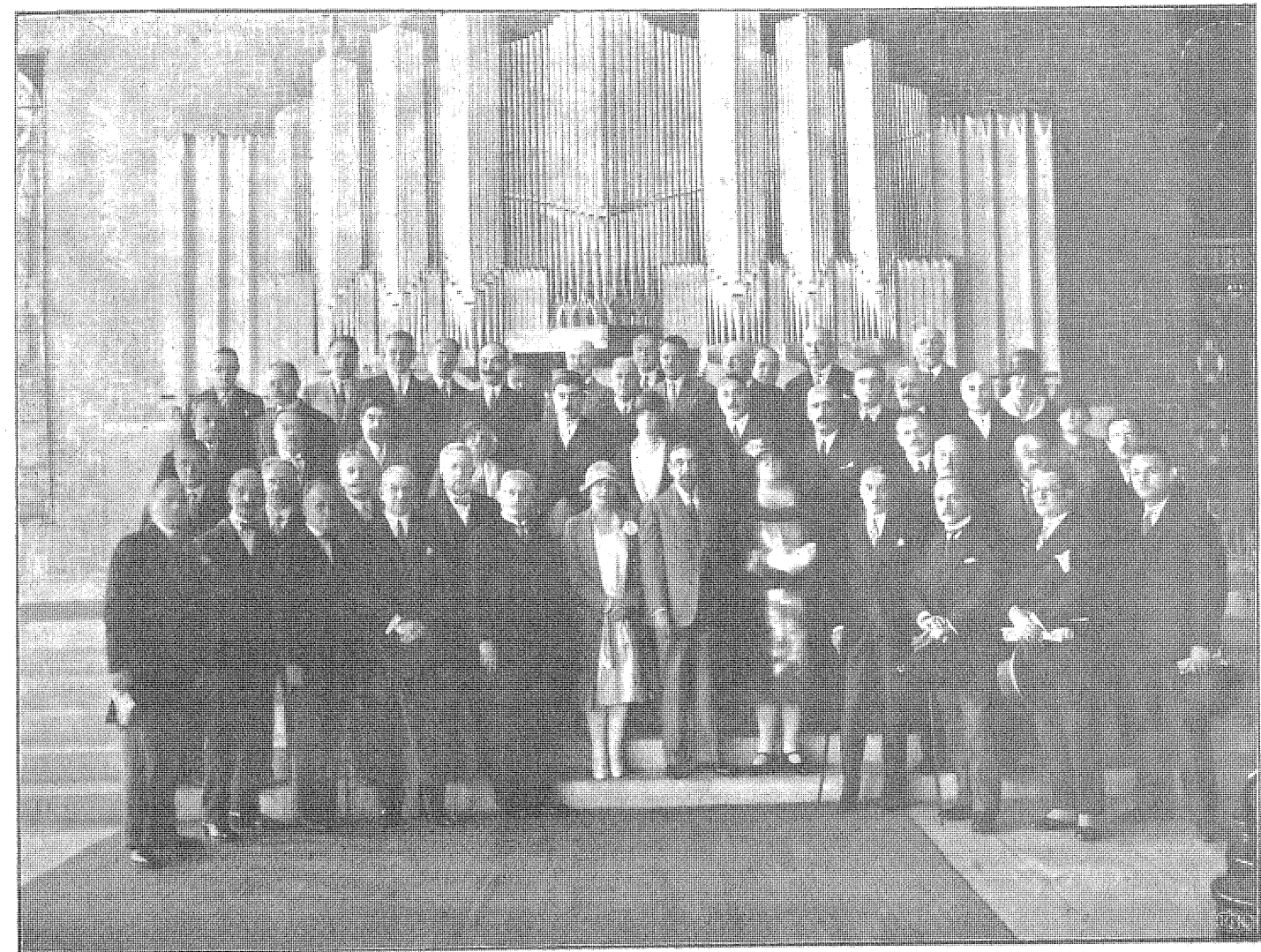
Sztuczny staw w parku Poniatowskiego.



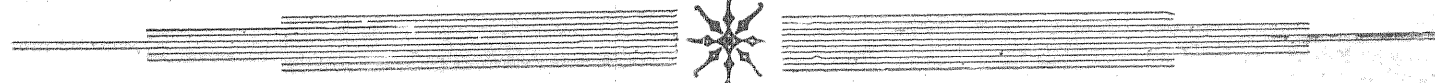
W Bydgoszczy nad kanałem od 2 do 7-ej słuzi ciągną się przepiękne aleje ze starodrzewem. Fot. A. Mayer.



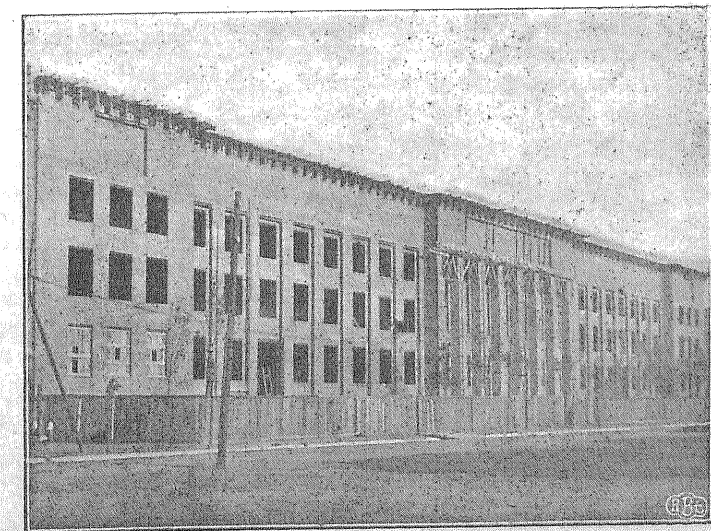
Haleczycy na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.



Wycieczka parlamentarzystów francuskich na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.



Obecny gmach Sądu Okręgowego w Łodzi przy ul. Żeromskiego 115.



Nowobudujący się gmach Sądu Okręgowego w Łodzi przy placu Dąbrowskiego. Fot. A. Mayer.

## Czerwony pokój.

Szła krokiem wolnym aleją w głębi parku, kiedy nagle, wyłoniwszy się z zarośli, stanął przed nią nieznajomy osobnik.

— Kto to? — spytała, cofając się wylekła.

Oblicze mężczyzny nie było straszne, naprawdę, ale wobec zdecydowanej jego postawy, młoda kobieta z niepokojem zmierzyla dużą odległość, dzielącą ją od pałacu.

— To prawda, że ludzie zmieniają się przez dziesięć lat — odparł nieznajomy niedbałym tonem wieśniaków lesistego Morvanu. — Nie przypominasz mi siebie, Aniela Botrot, ale ja mimo twą piękną suknię paryską poznaję dawną służącą matki Fournion. Nie podoba ci się to, he?

Uniósłszy z ironią swój kapelusz z lichego filcu prawą ręką i opierając wskazujący palec lewej na brzuchu, dodał:

— Justyn Boulard! Twój dawny narzeczony!

Młoda kobieta wróciła do równowagi tymczasem i wyprostowała się z godnością.

— Jestem markiza de Laroche! Czego chcecie ode mnie?

— O! Wiemy, że udało ci się wydać zamaż za tego półobłąkanego bogacza, Laroche, ażeby odziedziczyć po nim zamek i miliony...

— Bezcelny nędzniku! Nie jestem obowiązana tłumaczyć się przed tobą z mojego postępowania.

— Zapewne, pani markizo! Ale nie możesz zamknąć mi ust i musisz wysłuchać tego, co ci powiem w oczy, póki cię trzymam w ręku. Grzech jest częściej nagradzany na tym świecie od cnoty. Ty, na ten przykład, zdobyłaś ładny majątek złem prowadzeniem się. Gdybyś pozostała cnotliwą, myłabyś prawdopodobnie dotychczas statki w oberży, o ilebyś nie poślubiła była biednego jak ja robotnika. To nie racja jednak, abyś pogardzała ludźmi, wśród których wyrosłaś i masz tupet nielada — powiadam ci — że przyszłaś szydzić z nich tu, gdzie zostawiłaś rodziców w nędzy...

— Dość już tego! Wkroczyliście do mojego parku, jak złoczyńca. Wyjść mi na tychmiast, bo inaczej...

— Grozisz mi? Patrzcie państwo! — syknął Justyn Boulard, chwytając grubiańsko jej dłoń.

— Oddasz mi może w ręce żandar mów, ty, lajdaczko? Ale pamiętaj, że ja jestem zawzięty i że niedługo cieszyć się będziesz niegodnie nabytą fortuną.

Opuścił ją ruchem pełnym wzgardy i oddalił się, wołając jeszcze z groźnym błyskiem w oczach:

— Aniela Botrot! Żmije pożra twoje serce!

Przed dziesięciu laty markiz Albert Laroche, ekscentryczny stary kawaler, który spędzał rokrocznie kilka letnich miesięcy w zamku swoim Valdunois, o dwa kilometry od małej wioski Varancelles, zaszedłszy pewnego dnia do oberży, w której Aniela Botrot była służącą, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Uprzejma dla gości, osiemnastoletnia, wysmukła jak topola bruneteczka, nie domyślała się narazie płomienia, jaki rozpałała w sercu właściciela zamku. Skoro jednak Albert Laroche, znany ze swych ekscentrycznych wybryków, wyjąwszy nagle klucz z kieszeni odezwał się do niej bez ogródek: „Ten klucz otwiera małą furtkę w głębi mego parku; chcesz go?"; zmieszana, zarumieniona, spojrzawszy zpośród wokoła, wzięła klucz bez słowa.

„Czekam cię dziś wieczorem, przed północą!“ — dodał wówczas markiz i wyszedł z oberży.

Aniela stawiała się na rendez-vous. Chwila ta stała jej w oczach, kiedy przyspieszonym krokiem zdała do zamku.

— Symonie — zwróciła się do swego lokaja — obejdz park wokoło i sprawdź czy wszystkie bramy są dobrze zamknięte.

— Czy jaśnie panią spotkało coś złego? Jaśnie pani jest blada i drżąca.

— Nnie!... Nnie!... Ale klimat nie służy mi tutaj... Wyjeżdżamy jutro. O zmierzchu Symon z latarką w rękę poszedł zbadać park.

— I cóż? — spytała go Aniela, gdy wrócił.

— Nie chciałbym przestraszać jaśnie pani, ale mijając gąk różany, zdawało mi się, że jakiś wieśniak z sakwą był na tarasie przed czerwonym pokojem, który jaśnie pani zostawiła otwarty... Pobiegłem tam natychmiast, ale żywego ducha nie zastałem. Może to było przywidzenie tylko, cienie drzew tańczących w blasku mojej latarki!...

Aniele, skoro została sama w swym pokoju, ogarnęła dziwna niemoc.

Ulegając szczególnym kaprysom Albert Laroche polecił marszałkowi swego zamku, aby wszystko w tym pokoju miało kolor czerwony: obicia, meble, dywany, sufit, najdrobniejsze przedmioty nawet były jednolitej szkarłatnej, szklistej barwy, przyprowadzającej o zawrót głowy niemal.

W pamięci Anieli ta noc fantastyczna, jedyna, jaką spędziła w tym zamku, w którym oddała się po raz pierwszy mężczyźnie bez miłosnych wstępów, służalczo...

Nazajutrz Albert Laroche wyjechał z nią do Paryża i od tej pory nie była nigdy ani w zamku Valdunois, ani też w wiosce Varancelles.

Praktyczna, przebiegła i sprytna wieśniaczka, Aniela Botrot opanowała do tego stopnia swego dziwaka-kochanka, że ten

przed śmiercią poślubił ją, czyniąc spadkobierczynią całego swego majątku.

Upojona dumą, Aniela de Laroche nie zdołała oprzeć się chęci pochwalenia się bogactwem swym w rodzinnych stronach, gdzie mieszkańcy znali ją ubogą najemnicą. Uczuła teraz nagle, że igrała z ogniem.

Nawskroś jeszcze przejęta spotkaniem z Justynem Boulard zgasła lampę. Ale sen nie przychodził. W parku krzyk sów, zwiastunek śmierci, obudził w duszy jej wszystkie stare zabobony wieśniacze. Niezrozumiały upadek jakiegoś przedmiotu w korytarzu, skrzyknięcie mebli napelniało ją przerażeniem.

Powoli, zegar ścienny rozdarł grobową ciszę dwunastu złowrogimi uderzeniami... Północ! Aniela dygoce, jak w febrze. Jakiś nieokreślony niepokój dręczy jej umysł. Doznaje uczucia, jak gdyby zbrodnicza istota krążyła wokół niej... Istota realna, czy urojona, jawna czy tajemna?... Aniela nie wie, ale ktoś jest napewno w pokoju. Usłyszała wyraźnie przed chwilą szelest w jedwabnych firankach nad głową... Przerażenie mrowiem przebiega jej przez skórę...

Rozszerzone źrenice sondują gęstość ciemności. Przedśmiertna, straszna trwoga targa jej sercem. Wydaje się jej, że Justyn Boulard rzucił czary na nią. Czy to złudzenie? Oblęd może? Tam, na dywanie, jak gdyby dwa rubiny. Ależ tak! Dwa rubiny, żyjące, mrugające jak oczy! Ręce Anieli macają w próżni. Przewraca lampę. Chce dzwonić. W przystępie rozpaczki zdziera obicie ze ściany paznogciami, nie mogąc znaleźć dzwonka. A tymczasem cztery rubiny błyszczą w ciemnościach.

Pragnąc wówczas uciec z tego zaczerpniętego pokoju, wstaje z łóżka, wylekła, z rozpuszczonymi włosami; zaledwie jednak dotknęła stopą posadzki, coś zimnego i śliskiego owija się jej koło kostki. Krzyk zamiera jej w gardle i w konwulsjach strachu pada na ziemię.

• • •

Nazajutrz, kiedy Szymon wszedł do czerwonego pokoju, panowała w nim śmiertelna cisza. Zaledwie otworzył żaluzje, cofnął się ze zgrozą ku drzwiom na widok swej pani, która leżała w pół naga na podłodze z twarzą nabrzmiałą i żmiją wokół szyi.

Kiedy wieść o tym tragicznym i osobliwym wypadku rozeszła się po wsi, Justyn Boulard wzruszył ramionami i odezwał się z szyderczym śmiechem:

— Nic w tem dziwnego, dalibóg! Wiadomo przecież, że markiz Laroche hodował i więził żmije w swoim zamku.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 15 września 1929 r.

Nr. 37.

## Relikwie św. Kazimierza w Łodzi.



Dnia 7 września r. b. Łódź katolicka zmanifestowała swe uczucia religijne oddaniem czci relikwii św. Kazimierza — Królewicza Polski, sprowadzonym z Wilna do kościoła na Widzewie. Z okazji tej odbyły się wielkie uroczystości kościelne, połączone z procesją, która wyruszyła z katedry św. Stanisława na Widzew. Powyżej widzimy relikwiarz niesiony przez przedstawicieli społeczeństwa miejscowego z dowódcą O. K. IV generałem Małachowskim i wicewojewoda dr. Różnieckim w asyście duchowieństwa z J. E. ks. biskupem dr. W. Iymienieckim na czele.

Fot. A. Mayer.